

TEMAT TYGODNIA

- 12 Malwina Dziedzic
Grzebanie w przodkach
- 16 Marcin Kołodziejczyk
Młode ciało na sprzedaż

POLITYKA

- 20 Jacek Żakowski
Nadchodzi bunt seniorów

KRAJ

- 24 Agnieszka Sowa DOSSIER
Niepełnosprawni: tylko trochę lepiej
- 28 Rozmowa z suicydologiem prof. **Agnieszką Gmitrowicz** o młodych samobójcach
- 30 Marek Henzler
Gdzie wsadzić więźniów z zagranicy

RYNEK

- 32 Adam Grzeszak **Kryzys widać po zakupach**
- 36 Wojciech Markiewicz
Z kim wyjechać, żeby wrócić
- 39 Rozmowa z dr **Małgorzatą Niesiobędką** o psychologii płacenia podatków

ŚWIAT

- 42 Roman Frister IZRAEL
Do Knesetu weszły partie protestu
- 45 Łukasz Wójcik USA
Lobbyści zastępują opozycję
- 48 Marcin Wojciechowski
ROSIJA **Mafia się odmładza**

HISTORIA

- 50 Sebastian Ligarski, Paweł Szulc **Jak Gierek rozładował strajk w Szczecinie**
- 54 Piotr Osęka **Kto dopuścił Hitlera do władzy**

NAUKA

- 58 Marcin Rotkiewicz **GMO: wyhodowaliśmy prawne kuriozum**



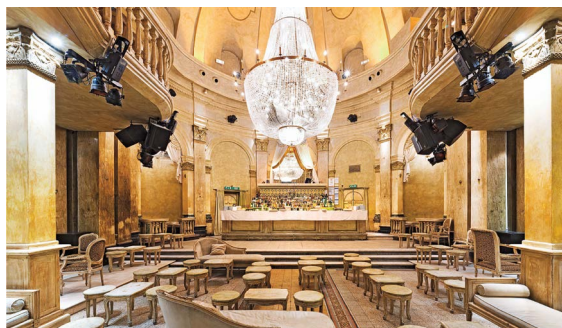
16 Cykl życia motyla



20 Nadciąga srebrne tsunami



28 Dlaczego chcą odejść



100 Dawniej kościół

- 62 Edwin Bendyk
Bywają szlachetni hakerzy
- 64 Agnieszka Krzemińska
O krzyżakach dobrze i źle
- 67 TECHNOECHO

KULTURA

- 72 Rozmowa z laureatem Paszportu POLITYKI pisarzem **Szczepanem Twardochem** o życiu, literaturze i morfinie
- 75 KAWIARNIA LITERACKA
Sylvia Chutnik
- 76 Janusz Wróblewski
Barczo brutalna „Drogówka”
- 78 Piotr Sarzyński **Gdzie oglądać sztukę nowoczesną**
- 82 Aneta Kyzioł **Teatr się rozśpiewał**
- 85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 86 Mariusz Herma
Norweski mistrz szachownicy ucieka rywalom
- 90 Ryszard Wolff
W co wierzą pastafarianie
- 93 Karolina Pasternak
Sundance – festiwal inny niż inne

NA WŁASNE OCZY

- 100 Piotr Kowalczyk, fotografie Andrea Di Martino /Picturetank
Co można urządzić w odświęconym kościele

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 68 Afisz • 95 Passent • 96 Stomma • 97 Tym • 98 Fusy • 106 Polityka i obyczaj



www.mleczeko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

felieton



Kolej opóźniona w rozwoju

Dzięki niedawnemu strajkowi dowiedzieliśmy się, że największym zagrożeniem dla funkcjonowania polskich kolei jest zmuszanie kolejarzy do płacenia za przejazdy pociągami. Kolejarze od dawna ostrzegają, że domaganie się od nich pieniędzy za bilety może doprowadzić kolej do upadku. Ogłaszając strajk, wyszli oni z założenia, że jeśli działająca kolej nie jest w stanie zapewnić darmowych przejazdów pierwszą klasą ludziom, którzy jej to działanie umożliwiają, to może lepiej, żeby taka kolej stała.

Okazało się zresztą, że stanie wychodzi kolei lepiej niż jeżdżenie. Trzeba przyznać, że dzięki strajkowi kolej zatrzymała się punktualnie i zgodnie z rozkładem. W całym kraju o tej samej godzinie

zatrzymano ok. 400 pociągów. Zatrzymania przebiegały spokojnie i bez opóźnień, żaden skład się nie wykoleił. Na dworcach uruchomiono specjalne punkty informujące z wyprzedzeniem, dokąd i z którego peronu konkretne pociągi nie odjadą, dzięki czemu pasażerowie nie musieli się denerwować, że nie zdążą nimi dokądś nie pojechać. Po zakończeniu strajku, mimo panującego mrozu, wszystkim zatrzymanym pociągom udało się ponownie ruszyć.

Według organizatorów, łączne opóźnienie osiągnięte przez stojące podczas strajku pociągi wyniosło 25 382 minuty, z czego wynika, że na każdy stojący pociąg przypadło nieco ponad 63 minuty. To bardzo dobry wynik, gdyż zdaniem specjalistów, gdyby pociągi te zamiast stać – jechały, ich opóźnienie mogłoby ulec zwiększeniu.

Kolejarzcy związkowcy ogłosili, że strajk poparła większość pasażerów kolei, z czego można wnioskować, że pasażerowie ci także wolą, aby pociągi stały i strajkowały,

niż żeby jeździły. Trudno się temu dziwić, gdyż wiadomo, że stojące z powodu strajku pociągi powodują mniej utrudnień w podróży. Pasażerowie skarżą się, że gdy na kolei nie ma strajku, pociągi zatrzymują się, kiedy chcą, i nikt nie ma pojęcia, kiedy ruszą. O zatrzymaniach tych, niestety, nie informuje się pasażerów przed rozpoczęciem podróży, w dodatku zwykle dochodzi do nich w szczerym polu, z dala od siedzib ludzkich, kawiarni i placówek handlowych.

Na tym tle niedawny strajk to duży sukces kolei. Postarano się, aby miejscem postojów były nowoczesne dworce, oferujące podróżnym możliwość miłego spędzenia czasu do ponownego odjazdu pociągu, a w żadnym ze stojących podczas strajku pociągów nie wyłączono ogrzewania, co niestety często zdarza się w okresach, w których strajki nie są przeprowadzane. W tej sytuacji trudno się dziwić, że kolejarzkie związki planują już następne strajki, a władze kolei nie robią nic, żeby te plany pokrzyżować.



Hello Tomorrow **Emirates**

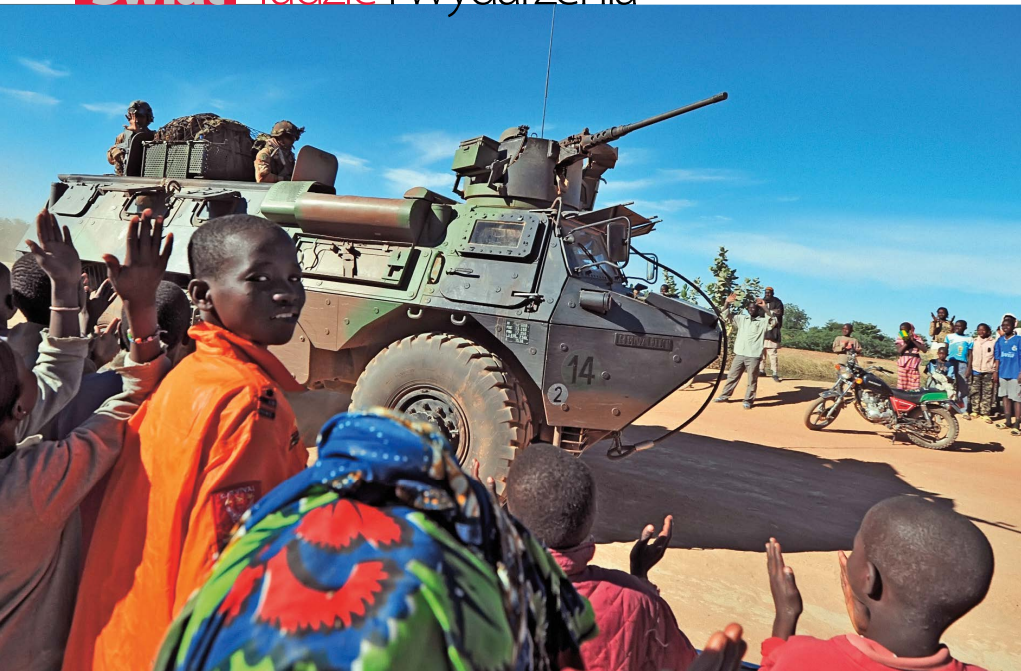
Codziennie z Warszawy do Dubaju i na cały świat

Lataj codziennie liniami Emirates z Warszawy
do Dubaju i do ponad 125 miejsc na świecie.
Już od 6 lutego 2013 roku.

emirates.com/pl

Wejź na skywards.com i odkryj korzyści programu dla osób, które często podróżują.

Aby zarezerwować pobyt w Dubaju, skontaktuj się z lokalnym biurem podróży lub biurem linii Emirates. Obowiązują „Ogólne warunki przewozu”. Więcej informacji w Twoim biurze podróży lub pod numerem telefonu 22 306 0808.



© AP/EAST NEWS

Odwrót bez strzałów

Powstanie islamistów w **Mali** jest w odrovincie. Wystarczyły dwa tygodnie, by kilka tysięcy francuskich żołnierzy przy wsparciu armii malijskiej przejęło

najważniejsze miejscowości zbuntowanej północy kraju. Francuzi osiągnęli tak znaczną przewagę za sprawą ataków z powietrza. Na ziemi walczyli dotąd

niewiele, bo islamiści ratują się ucieczką, czasem dość rozpaczliwą. Gdy brakuje benzyny, porzucają samochody terenowe i przesiadają się na wielbłądy albo odchodzą piechotą. I tak, bez jednego wystrzału, udało się zająć m.in. Timbuktu. Niestety, wcześniej buntownicy podpalili tam bibliotekę z dziesiątkami bezcennych arabskich manuskryptów nawet z XIII w.

To jeszcze nie koniec wojny, islamiści wcale nie przegrywają. Poza miejscowościami to oni zachowują przewagę. Na rozpalonej słońcem pustyni i w górach ich tropienie będzie bardzo trudne, tym bardziej że zawczasu przygotowali tam wiele kryjówek, głównie jaskiń i tuneli, skąd będą prawdopodobnie wyprowadzać partyzanckie ataki. Mogą też bez problemu przechodzić do sąsiednich państw przez zupełnie niestrzeżone granice.

Analitycy pocieszają, że ujarzmienie powstania w Mali powinno być prostsze niż w Afganistanie: tam rebeliantów wspiera i finansuje Pakistan. Natomiast islamiści w Afryce Zachodniej muszą finansować się sami, głównie z handlu narkotykami i okupów za uprowadzonych cudzoziemców. Na żadnego możliwego sponsora liczyć nie mogą.

Lub czasopisma

Nie jestem cenzorem, niech robotnicy sami decydują, czy chcą kupować świńskie magazyny” – oświadczyła **Marta Suplicy**, brazylijska minister kultury. To odpowiedź na liczne głosy krytyków, którym nie podoba się nowy rządowy program dotacji dla najuboższych. Dzięki poprzednim – w tym słynnemu *Bolsa Familia* (rodzinny portfel), który finansował edukację dzieciom ze wsi i slumsów – kilkadziesiąt milionów ludzi wyszło ze skrajnej biedy. Teraz lewicowy gabinet chce ich uduchowić. Wszyscy obywatele, których roczne zarobki nie przekraczają równowartości 1,6 tys. euro, dzięki projektowi *Vale Cultura* (kultura się liczy) dostaną co miesiąc warte 22 euro bony, którymi będą mogli płacić za dobra niematerialne – wyjście do kina, teatru czy kupno książki.

Prawica jest oburzona. Program ma kosztować 3 mld euro, trzykrotność rocznego budżetu ministerstwa kultury, a objęci nim Brazylijczycy i tak z niego nie skorzystają – utrzymują krytycy. W Nordeste, najbardziej i najbardziej zacofanym regionie kraju, kino jest tylko w co dziesiątym miasteczku. Teatrów i bibliotek nie ma prawie w ogóle, a poza tym niedawni biedacy to wciąż półanalfabeci. Dlatego, zdaniem opozycji, skorzystają raczej z zapisu ustawy, że bony mogą być także wymieniane na gazety lub czasopisma i zamiast z kultury, będą korzystać z darmowej pornografii. Ale pani minister Suplicy, która sławę zdobyła prowadząc w telewizji program o edukacji seksualnej, taka wizja najwyraźniej nie przeraża.



© AP/EAST NEWS

Niech się pośpieszą i w końcu umrą

Taką uwagę skierował Taro Aso, japoński minister finansów, pod adresem miejscowych emerytów. To niewątpliwie szczerza, ale mało rozsądna wypowiedź, szczególnie kiedy weźmie się pod uwagę, że już co czwarty wyborca w Kraju Kwitnącej Wiśni ma powyżej sześćdziesiątki. A jeśli chodzi o pieluszki, sprzedaje się ich już więcej dla dziadków niż wnuków. Na wyspach mieszka połowa wszystkich azjatyckich stulatków. I koszty ich obsługi medycznej stanowią coraz bardziej zauważalne obciążenie dla budżetu. To właśnie miał na myśli minister Aso, krytykując staruszków za długowieczność. „Ja sam czułbym się źle, wiedząc, że jestem podtrzymywany przy życiu za rządowe pieniądze” – dodawał na usprawiedliwienie. Aso ma dopiero 72 lata, więc patrzy na to z młodzieńczej perspektywy.

O globalnym buncie staruszków – s. 20.



Goły rewers

Kanadyjczycy mają problem z nową 20-dolarówką. Dotychczasowe były najczęściej podrabianymi tu banknotami, teraz są polimerowe, trwałe i superbezpieczne, ale nie o to chodzi. Poszło o rewers. Krytycy utrzymują, że umieszczony tam (i to obok głowy monarchini Elżbiety II)

wizerunek przedstawia na pierwszy rzut oka nowojorskie bliźniacze wieże oraz trzy panie z nagim biustem. Co to ma ze sobą wspólnego? – pytają. Otóż przedstawiony tam motyw to fragment pomnika z odległego francuskiego Vimy, koło

Arras, gdzie w starciu z Niemcami poległo heroicznie w kwietniu 1917 r. 7 tys. Kanadyjczyków. A wspomniane trzy figury to Sprawiedliwość, Pokój i Nadzieja. Rzecz w tym, że Kanadyjczycy mało ten pomnik kojarzą, z tamtą historią są na bakier, krytyka dotyczy też motywu martyrologicznego na banknocie, bo, ich zdaniem, Kanada kojarzy się w świecie raczej z siłami pokojowymi. Ale to nie koniec kłopotów. Botanicy odkryli, że liść umieszczony na banknocie to nie klon cukrowy, duma Kanady i emblemat z flagi narodowej, lecz klon pospolity, zwany też norweskim, który, przełancowany tutaj, uchodzi za agresora w drzewostanie.

Pentagon o samobójcach

W zeszłym roku życie odebrało sobie 349 amerykańskich żołnierzy. To więcej niż 295 poległych w tym czasie w Afganistanie. Życie na służbie najczęściej odbierali sobie żołnierze sił lądowych (182), marynarki (60), sił powietrznych (59) i piechoty morskiej (48). Ale wielu samobójców zarejestrowano też wśród weteranów z Iraku i Afganistanu albo żołnierzy, którzy nie pojechali na wojnę, a mieli kłopoty osobiste, wpadli w dług lub mieli problemy z prawem.

Dane o samobójstwach Pentagon zaczął zbierać 12 lat temu, a wyraźny wzrost rejestruje od 2006 r. W zeszłym padł rekord. Dokładnie analizuje się każdy przypadek i opracowuje profil psychologiczny osób, które odbierają sobie życie. Z ostatnich danych wynika, że są to głównie biali mężczyźni nieprzekraczający 25 roku życia i niemający wyższego wykształcenia. Spory odsetek stanowią też rozwodnicy. Większość zabija się za pomocą broni palnej, co akurat w wojsku specjalnie nie zaskakuje.



© REUTERS/CHRISTIAN CHARISIUS/FORUM

Berlińczycy nie chcą Szwabów

Wwielokulturowym Berlinie nie wszyscy są mile widziani. W ostatnich latach mieszkańcom stolicy coraz bardziej przeszkadzają... ich rodacy ze Szwabii. Bo – według miejscowych – Niemcy, którzy przyjeżdżają z Bawarii albo Badenii-Wirtembergii, zamiast przyjmować język i obyczaje panujące w Berlinie, wprowadzają swoje określenia i styl życia. „Już nie mogę kupić u piekarza berlińskiej bułeczki o nazwie *Schrippe*, tylko szwabską *Wecken*” – skarżył się niedawno **Wolfgang Thierse**, wiceprezydent Bundestagu z SPD, i dodawał, że życzyłby sobie, aby Szwabi pojeśli, że są w Berlinie, a nie w jednym ze swoich małych miasteczek. Natychmiast pojawili się krytycy, którzy uznali, że gdyby słowo „Szwabi” zastąpić Turkami albo Żydami, wypowiedź Thiersa uznano by za rasistowską i powszechnie potępiono. Ale nie brakuje też opinii, że Thierse powiedział głośno to, co myśli skrycie wielu berlińczyków. Po zjednoczeniu do wschodnioberlińskiej dzielnicy Prenzlauer Berg przybyli młodzi, którzy do dzielnicy robotników, studentów i artystów wprowadzili drobnomieszczański porządek.

Jak u mamy

Jeszcze jeden dowód, jak trudno jest skleić wspólną Europę: unijna statystyka J 25–34-latków, którzy ciągle mieszkają z rodzicami i, w domyśle, pozostają na ich garnuszku. Według Eurostatu prym wiedzie tu Słowacja – 56,4 proc. dorosłych dzieci nie chce wyfrunąć z gniazda, dalej Bułgaria (55,7), Malta (51,9) i Grecja (50,7), a w czołówce jest całe katolickie Południe, bo również Włochy, Hiszpania i Portugalia. A także nasza strona dawnej żelaznej kurtyny: w tym Polska (44,4). Na drugim biegunie mamy protestancką Północ, która mimo kryzysu konsekwentnie wypycha swoje dzieci z domu: w Danii tylko 1,9 proc. mieszka z rodzicami, w Finlandii i Szwecji – po 4,1. Jest też grupa wysoko rozwiniętych średniaków pod względem rodzicielskiej troski: Francja (11,6), Niemcy (15,7), W. Brytania (15,1), Belgia (15,6), gdzie kryzys i kłopoty na rynku pracy nie naruszyły zasad i obyczajów w tej mierze.

Wilcze echa

Prezydent rosyjskiej Jakucji Jegor Borysow wprowadził stan wyjątkowy na terenie całej republiki. Z powodu wilków, które ostatnio zaczęły napadać także na ludzi. W zeszłym roku zagryzły 16 tys. hodowlanych reniferów i 300 koni, w tym mają nie mniejszy apetyt. Prezydencki dekret z połowy stycznia nakazuje odstrzelać niebezpiecznych drapieżników aż do odwołania, czyli zmniejszenia stada wilków z 3,5 tys. do 500 sztuk. Operację poprowadzą specjalnie sformowane brygady myśliwskie, a za zabicie wilka, potwierdzone dostarczeniem skóry martwego zwierzęcia, przewidziano wysokie premie.



© MCPHOTOS/EAST NEWS

Cena strachu

Cena strachu wynosi z grubsza 40 tys. zł na głowę (przed opodatkowaniem), a więc nie jest zbyt wygórowana. Zależy zresztą dla kogo. U Janusza Palikota na przykład wywołała szok, z którego nie mógł się otrząsnąć do czasu, aż przygniatająca większość jego sejmowego klubu nie cofnęła rekomendacji na stanowisko wicemarszałka pani Wandzie Nowickiej, która nie okazała prawdziwie lewicowej wrażliwości. Panowie uwinęli się z cofnięciem rekomendacji szybko. Poganiał ich poseł Sławomir Kopyciński (nabytek z SLD, gdzie jak widać przeszedł niezłą szkołę gier zakulisowych), donosząc gorące informacje z innych partyjnych gabinetów, że Miller już cofa rekomendację wicemarszałkowi Wenderlichowi, a prezes Piechociński właśnie wyrzuca wicemarszałka Grzeszczaka. W rezultacie ofiarą czystki po awanturze o premie dla prezydium Sejmu padła jedynie Nowicka, a panowie od Palikota tak spieszą do objęcia stanowiska po niej, że na razie nie są w stanie uzgodnić, na kogo ten zaszczyt spłynie. Lista kandydatów mających lewicową wrażliwość rośnie.

Niestety, cena strachu przed opinią publiczną, reprezentowaną w Sejmie przez grono dziennikarzy żarliwie i z oddaniem wykonujących swój zawód (tu szczególnie wyróżniła się młoda dama niepozwalająca zniknąć w windzie wicemarszałkowi Cezaremu Grabarczykowi i szturmująca z kamerą i mikrofonem uparcie zamykające się drzwi), stała się również ceną kompromitacji. Gorliwość, z jaką marszałkowie przed kamerami przekazywali na cele społeczne swoje pieniądze (należne im na podstawie obowiązujących ustaw), lub ich rozbiegane oczy, kiedy próbowali coś jednak uszczknąć dla siebie, prowokowała wręcz do myśli, że może podaliby się do dymisji, skoro nie mają odwagi swoich decyzji bronić i zostawiają na placu obu samą marszałek Ewę Kopacz. Dziennikarskie „odkrycie” żadnym odkryciem nie było, w wielkiej pogoni za sensacją dociekliwym reporterom ni-

czego nie chciało się sprawdzić. Premie, z dwuletnią przerwą (raz zamrożono je w ustawie budżetowej, drugi raz – kiedy w trakcie roku zmieniała się kadencja), wypłacano, i to wyższe. Nie mógł nie wiedzieć o tym pełen publicznego potępienia dla Prezydium Sejmu Leszek Miller, bo za rządów SLD płacono niemało i wystarczyło na przykład Józefa Oleksego czy Marka Borowskiego spytać. Wiedział o tym Janusz Piechociński, bo zbyt długo w Sejmie przebywa, by nie znać zasad wynagradzania. Nie mógł w końcu nie wiedzieć premier Tusk, bo sam nagrody brał, a za czasów marszałka Komorowskiego płacono jedne z najwyższych. Nagrody były więc rutyną, bo nikomu nie chciało się zmienić starych ustaw i po prostu te 8,5 proc. odpisu od funduszu płac wpisać do tegoż funduszu i ewentualnie podnieść pensje.

Być może marszałek Kopacz zachowała się zbyt rutynowo, ale nikt z wicemarszałków nie zaprotestował, a z całej tej awantury pożytku żadnego nie będzie, jeśli nie ustali się wreszcie przejrzystych reguł wynagradzania osób zajmujących najwyższe stanowiska w państwie. Nigdy nie było odwagi, aby to zrobić, bo o wszystkim decydował właśnie strach. W tej awanturze odważnie i z godnością zachował się jedynie marszałek Senatu Bogdan Borusewicz, który stwierdził, że nagrody będzie nadal przyznawał, bo tabloidy nie będą go uczyć etyki.

Szkoda jednak, że strachu nie przełamało w Sejmie wystarczająco wielu posłów, aby projekty ustaw o związkach

partnerskich, a przynajmniej jeden z nich, skierować do dalszych prac. Zamiast tego mieliśmy serię żenujących popisów ignorancji i arogancji, które nakazywałyby z kolei, by pomyśleć o obniżce poselskich uposażeń. Niestety, wypowiedział się również minister sprawiedliwości Jarosław Gowin, który przypisał sobie rolę Trybunału Konstytucyjnego i orzekł stanowczo, że wszystkie projekty są niezgodne z konstytucją. Najwyraźniej chodziło mu o pogębienie premiera i zademonstrowanie swojej siły. Przyszło mu to tym łatwiej, że chory premier najwyraźniej nieco się pogubił. Najpierw „zaćwierkał”, że chce, aby wszystkie trzy projekty skierować do komisji, ale w głosowaniach był już tylko za jednym, chociaż wcześniej w wystąpieniu sejmowym mocno opowiedział się za związkami partnerskimi.

Platформа oczywiście nie pękła, różnice szybko tuszowano (w PO nie ma dyscypliny głosowania w sprawach światopoglądowych – argumentowano zgodnie z prawdą). Może jesteście świadkami pierwszej potyczki podjazdowej w wojnie sukcesyjnej, w której premier doznał prestiżowej, bo publicznej porażki. Donald Tusk już kilka lat temu zapowiedział, że w 2014 r., czyli na następnym kongresie partii, nie będzie kandydował na stanowisko przewodniczącego. Szeregi się więc przemieszczają, zwierają, tworzą się nowe aliansy i zapewne jest grupa, która będzie chciała premiera trzymać za słowo. Tusk zaniedbał partię i klub parlamentarny, nadmiernie wierząc w swój

polityczny instynkt, i trochę na własne życzenie związku partnerskie przegrał.

Być może w przyszłości Gowin pożegna się ze stanowiskiem ministra sprawiedliwości, gdyż coraz wyraźniej na linii Tusk–Gowin iskrzy. Trzy dni przed feralnym głosowaniem, na wtorkowym posiedzeniu Rady Ministrów, premier wiele czasu poświęcił krytyce stanowiska ministra sprawiedliwości wobec sędziego Igora Tulei. Nie może go cieszyć konflikt z PSL z powodu przekształceń sądów, nie muszą mu się podobać publiczne deklaracje Gowina, że konwencja o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet nie doczeka się ostatecznej ratyfikacji w tej kadencji Sejmu. Minister sprawiedliwości zdaje się nieustannie próbować, jak daleko może się posunąć i musi mieć już poczucie zagrożenia. Wystarczyło zobaczyć go po głosowaniu. Zdecydowanie bardziej niż premier wyglądał na przegranego. Nie można wykluczyć więc scenariusza, że na razie stanowiskiem zapłaci wiceminister Królikowski, prawa ręka Gowina i główny ideolog w ministerstwie. Bez Królikowskiego Gowin, który nie jest prawnikiem, szybko ugrzęźnie i wtedy Tusk będzie mógł dokończyć dzieła. Wystąpienie Gowina ożywiło jednak frakcję centrowo-liberalną, związaną z Grzegorzem Schetyną, który nadal rzadko wychodzi z cienia.

Po głosowaniu rozszalały się kulturalowe spekulacje. Liczono głosy, składano nowe koalicje, nawet zaczęto przewidywać, że premierem może nieoczekiwanie zostać Janusz Piechociński (PiS plus „46-osobowa frakcja” Gowina, plus PSL i Solidarna Polska na dodatek). Taki to już urok kulturalowy. Na razie jednak wiadomo tyle, że premier ma kłopot, ale być może minister sprawiedliwości zgotował sobie kłopot większy. W natłoku zdarzeń nie zauważono nawet, że przepadło kolejne wotum nieufności dla ministra zdrowia. No, ale przecież numer z parapremierem Glińskim dopiero przed nami.



Drugie podejście do związków partnerskich

Poseł Artur Dunin chce, by jeszcze w lutym ponownie złożyć do marszałka Sejmu projekt ustawy o zawarciu umowy związku partnerskiego. – Po tych smutnych, bo przegranych głosowaniach rozmawiałem z wiceprzewodniczącą klubu Małgorzatą Kidawą-Błońską i ustaliliśmy, że klub jeszcze raz złoży przygotowany przeze mnie projekt – mówi Dunin. Dodaje, że najbliższe dwa tygodnie spędzi na jego „wyglądaniu”. Propozycja PO, mniej radykalna od zgłoszonych wspólnie przez kluby Ruchu Palikota i SLD, nie dawała możliwości wspólnego rozliczenia podatkowego, objęcia ubezpieczeniem zdrowotnym partnera, zasiłku opiekuńczego czy renty rodzinnej po zmarłym. Z przywilejów podatkowych przy darowiznie lub spadku pozwalała skorzysta dopiero po roku od zawarcia umowy partnerskiej. Co się jeszcze da wygładzić w projekcie, aby przekonać konserwatyistów? – *Myszę, że mógłbym zrezygnować z zawierania związku w USC. Umowę można by zawrzeć tylko przed notariuszem, który byłby zobowiązany przesłać ją do Urzędu* – mówi Dunin. W najbliższym czasie spotka się też z marszałek Sejmu Ewą Kopacz, by zastanowić się nad skierowaniem ustawy do pierwszego czytania w komisjach sejmowych, gdzie jest szansa na bardziej merytoryczną rozmowę niż na posiedzeniu plenarnym Sejmu. (DAB.)

15 218

to średnia liczba głosów, jaką zdobył w ostatnich wyborach każdy z 46 posłów PO, którzy zablokowali dalsze prace nad projektami ustaw o związkach partnerskich. Każdy z tych, którzy poparli projekt autorstwa Artura Dunina (PO), zebrał w ostatnich wyborach średnio ponad 22 tys. głosów. Łącznie na grupę konserwatyistów oddało swój głos ponad 700 tys. wyborców, a na tych, którzy popierają związki partnerskie, ponad 3,2 mln osób. Konserwatywni posłowie PO zdobywają zdecydowanie mniej głosów w wyborach niż ich bardziej liberalni partyjni koledzy, ale łącząc swoje siły z posłami opozycji, są w stanie zablokować liberalne projekty. (DAB.)

komentarz

Doskonalenie na poziomie rozszerzonym

Ewa Wilk



Minister edukacji Krystyna Szumilas dwoma zamiarami, ujawnionymi m.in. na urzędowym blogu, przerwała błogostan, w jaki zapadło szkolnictwo, chwilowo nienękanie gruntownymi reformami i systemowymi rewolucjami. Obie sprawy nowej rewolucji nie znamionują, mają raczej na celu dalsze doskonalenie (by przywołać jedno z ulubionych zakłęb propagandy realsocjalizmu). Pierwsza zatem – to dalsze doskonalenie testowego systemu egzaminów, głównie matury. Druga – dalsze doskonalenie Karty Nauczyciela.

Oba zamiary dojrzywały od dawna. Z tzw. prezentacji z języka polskiego niewiele już zostało – przez kilka lat powstał imponujący rynek tych rzekomo samodzielnych, intelektualnych przemysłów. Więc zamiast prezentacji zarządzano teraz losowanie tzw. tekstu kultury, który należy przeczytać i pogawędzić o nim z komisją. Niech i tak będzie, żadna to zmiana, tyle że internetowy rynek przywydnie. Przy okazji nakazano młodzieży zdawanie – poza polskim, matematyką i językiem obcym – choć jednego przedmiotu na poziomie rozszerzonym, żeby uczelnie miały spośród kogo wybierać. Trzeba zdawać, ale można nie zdać, bo tak chyba należy rozumieć zapis: „nie przewiduje się progu zdawalności”. Swoista, logiczna doskonałość. Na Karcie Nauczyciela, przez nieomal 20 lat jej istnienia nowelizowanej około

20 razy, też suchej nitki próżno szukać. W ostatnich latach ujawnił się jej główny mankament – nadmierna ochrona nauczycieli, co obraca się przeciwko nim. Ich pracodawcy bowiem, czyli gminy, nie mogą sprostać wymaganiom Karty. W ogóle nie mogą sprostać

zadaniu utrzymania szkół, bo dostają rządowe pieniądze wedle (malejącej) liczby uczniów, a pensje płacić muszą (rosnąco). Więc starają się nauczycieli pozwalniać, ale wielu jest praktycznie nieusuwalnych, gdyż chroni ich jakiś paragraf Karty. Logicznie zatem jest zamknąć szkołę i założyć taką placówkę, gdzie desperaci wezmą fikcyjne posady bibliotekarzy na umowę zlecenia, i już żadna Karta ich nie będzie chronić, ba, właściwie o żadnej ochronie pracowniczej mowy nie będzie. O wyjściu z tej logiki minister Szumilas ma zamiar dyskutować z samorządowcami i przedstawicielami nauczycielskich organizacji zawodowych. I byłaby to bodaj pierwsza rozmowa, która odwróciłaby dotychczasowy kierunek doskonalenia Karty.

Powiada się, że powszechna szkoła to takie oświeceniowo-romantyczne marzenie o tym, że powszechny dostęp do wiedzy udoskonalili ludzkość. Pozostaje ono w dużym stopniu utopią. U progu XXI w. można odnieść wrażenie, że zamiar udoskonalenia szkoły przez ludzkość jest równie utopiijny.

Jan Koza



Flota bez pilota

Po cichu wraca temat zakupu rządowych samolotów. Prezydent chce namówić premiera na duży wydatek.

Zakup samolotu dla vipów to temat z kategorii „poproszę o kolejny zestaw pytań”. Choć właśnie zaplanowano rozmowy na ten temat pomiędzy Biurem Bezpieczeństwa Narodowego a Kancelarią Premiera, to nie ma chętnego, który chciałby się tym pochwalić. Szef BBN prof. Stanisław Koziej najprawdopodobniej będzie chciał namówić premiera na stworzenie floty sześciu rządowych maszyn. Żeby ciężar zakupów rozłożyć w czasie, samoloty miałyby być kupowane w dwóch pakietach – po dwie małe maszyny i jedna duża. Przy czym ta duża wyposażona byłaby w łączność ze wszystkimi najważniejszymi szczeblami dowodzenia. Namiastka tego, co mają prezydenci USA czy Rosji, którzy z pokładu swoich rządowych samolotów mogą nie tylko rządzić, ale kierować działaniami podczas sytuacji nadzwyczajnych. Plan jest ambitny i kosztowny. Mówi się o miliardzie złotych. Co już na wstępie zabiera mu wiele szans na realizację.

Choć potencjalny pasażer numer jeden – prezydent Bronisław Komorowski – jasno deklaruje swoje stanowisko w kwestii zakupu. We wrześniu zeszłego roku po locie rejsowym samolotem na sesję ONZ w Nowym Jorku powiedział: „Gdybym miał forsy w kieszeni, tobym kupił od razu, ale nie mam, więc mogę powiedzieć tyle, że jest to źródło doświadczeń bardzo przedziwnych”.

Najwyższa klasa z leasingu

Życie pokazało, że przedziwne są decyzje samych polityków. Od 1994 r. powołane były już trzy międzyresortowe komisje, które miały pilotować zakup rządowych samolotów. A w 2006 r. udało się nawet rozpocząć procedurę przetargową. Udało



© PAP/RADEK PIETRUSZKA

Tu-154 wciąż czeka na kupca.

się również po raz kolejny zatrzymać procedurę. A później udało się jeszcze rozwiązać 36 Specjalny Pułk Lotnictwa Transportowego, rozgonić pilotów i rozmontować budowaną od lat infrastrukturę.

W 2010 r., po kwietniowej katastrofie rządowego Tu-154 w Smoleńsku, polscy politycy zostali właściwie bez samolotów. Bliźniaczy Tupolew był w remoncie, a mniejsze Jaki 40 ciągle się psuły. Na stanie 36 Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego, który obsługiwał rządowe loty, figurowały jeszcze cztery samoloty typu Bryza. Politycy niechętnie z nich jednak korzystali. Uchodziły za małe, głośne i niedające komfortu. Niektórzy ich pasażerowie całą drogę spędzali z zatyczkami w uszach. Nie nadawały się również do dłuższych lotów.

Ponieważ samolotów specjalnych nie kupuje się od ręki, jeszcze w maju 2010 r. rząd podjął decyzję o rozwiązaniu tymczasowym polegającym na dzierżawie dwóch samolotów od państwowego przewoźnika. Nie podpisano jednak umowy z Lotem, tylko z euroLOT. Już wtedy całkiem realny był scenariusz upadku PLL Lot – wtedy najważniejsi w państwie z dnia na dzień znów zostaliby bez samolotów.

Wybrano rejsową wersję samolotu Embraer 175. Maszyny miały jednak przejść gruntowną przemianę wnętrza. Zamiast 82 pasażerów zabierać tylko 55. Ale za to przynajmniej część z nich przewozić komfortowo. Za kabiną pilotów planowano

mały salonik z 10 dużymi fotelami skórzanymi. Zamierzano dodać samolotom systemy bezpieczeństwa i wstawić łączność specjalną. Po analizie kosztów stanęło na standardowym wyposażeniu. Jedynym ukłonem w kierunku pasażerów były nieco wygodniejsze fotele. Ale też z rejsowych maszyn. A i tak koszty umowy były mocno krytykowane. Za trzy lata świadczenia usługi euroLOT zażył sobie 150 mln zł. Firma podkreślała, że to cena za gotowość i najwyższą klasę pilotów. Na usługi pilotów wojskowych rząd się nie zdecydował, choć były takie przymiarki.

Dzierżawa samolotów miała być rozwiązaniem tymczasowym – umowę podpisano do końca grudnia 2013 r. Ciągłe nie wiadomo, jak potem wozic vipów.

Do wojska już nie dzwonią

Rządowy terminal lotniczy to mały parterowy budynek na uboczu głównego portu na Okęciu. Mały barek kawowy ze skórzanymi fotelami, salonik i tzw. poczekalnia. Przy czym salonik VIP bardzo łatwo można pomylić z poczekalnią. W zależności od tego, z kim się leci, kawę można dostać za darmo albo kupić za 5 zł, jeśli statut lotu jest niski. Alkoholu oficjalnie się nie podaje. Przy wejściu należy odnaleźć się na liście pokładowej i pobrać imienny bilet. To jedna z nowości wprowadzonych po katastrofie smoleńskiej. Wcześniej zdarzało się, że na jeden

Bumar się broni

Pracownicy Grupy Bumar przyzwyczaili się już do zwolnień. Największy producent broni w Polsce odchudzany jest od kilkunastu lat. Zaledwie kilkanaście miesięcy temu firma zakończyła duży program odejść dobrowolnych, z którego skorzystało kilkadziesiąt osób. Teraz znów znacznie zwalniać. I to grupowo. Jednak po raz pierwszy redukcje etatów mają dotyczyć centrali. O dotychczasowym sposobie zarządzania kadrami najlepiej świadczy to, że odejść ma prawie 100 z 300 zatrudnionych w niej osób. A firma planuje przy tym zwiększenie obszaru działań. – Przejmując zarządzanie spółką politycznym, ile szczebli zarządzania dzieli pracownika produkcji od prezesa. Okazało się, że siedem

– mówi Krzysztof Krystowski, prezes Grupy Bumar. Na samym funduszu płac Bumar zaoszczędzi około 10 mln zł rocznie.

Jak zwalniają, to będą i zatrudniać. Najbardziej powinni się tym zainteresować młodzi naukowcy i inżynierowie, bo tych firma będzie szczególnie potrzebowała. W ciągu najbliższych lat większość obecnie produkowanego sprzętu zjedzie z taśm. Ktoś będzie musiał stworzyć nowe produkty. – To ostatni dzwonek dla tej firmy. Większość jej produkcji to diamenty, ale Układu Warszawskiego. Gdybym był prezesem Bumar, to postawiłbym sobie na biurku tabliczkę z napisem „Innowacyjność głupku” – mówi jeden z analityków handlu bronią. (JUL)



© PAP/PIOTR POLAK

lot były dwie różne listy, a do samolotu wsiadało się na gębę. Poprawiła się również punktualność. Samolot trzeba zamówić z dwudniowym wyprzedzeniem. Za opóźnienia płaci się ekstra. A to mobilizuje. O tym, że lot jest szczególny, świadczy tylko wielkość posiłków i częstotliwość ich podawania. Właściwie nie ma na co narzekać. Ale zdaniem Biura Bezpieczeństwa Narodowego system się nie sprawdza. Technicznie, bo Embraerem nie da się latać za ocean (ma za mały zasięg). Formalnie – nie da się nim polecieć np. do Afganistanu, bo mogą tam lądować jedynie wojskowe samoloty. Ekonomicznie – usługa jest droga. Entuzjastami wożenia polityków przestali też być wojskowi. Po pierwsze dlatego, że po zlikwidowaniu 36 specpułku nie mają już takich możliwości. Po drugie – do wódcom odpadło mnóstwo kłopotów. – *Skończyły się telefony, że coś nie działa. Albo dlaczego czegoś nie ma. Na cywilnych pilotów nie można też wywierać takiej presji, jaka wywierana była na pilotów wojskowych, żeby przeprowadzać ryzykowne manewry* – mówi jeden z generałów. Choć oficjalnie wojsko nie zabiera głosu w tej sprawie, do kwestii wożenia polityków woleliby już nie wracać. – *Za ocean latają kilka razy w roku. Z Afganistanu wyjdziemy wcześniej, niż kupimy nowe samoloty. A stworzenie od zera nowej jednostki wcale nie będzie tańszym rozwiązaniem niż dotychczasowy leasing* – ripostuje prof. Koziejowi jeden z generałów.

W rok po oficjalnym rozwiązaniu 36 pułku niewiele z niego pozostało. Większość pilotów odeszła na emeryturę albo do innych jednostek. Na Okęciu zostały tylko rządowe śmigłowce, które przemianowano na Grupę Działań Lotniczych. Wojsko oddało policji słynnego Bela 412, kupionego kiedyś na potrzeby papieskiej pielgrzymki; później bardzo lubił nim latać prezydent Kwaśniewski. Za to wojskowi zostali z największym problemem, czyli wspomnianym drugim rządowym Tu-154. W październiku 2011 r. trafił do Mińska Mazowieckiego. Wygląda na to, że był to ostatni lot tej maszyny. Od 14 miesięcy samolot nie latał. I obecnie nie ma już w wojsku załogi, która mogłaby się tego podjąć. Zresztą do samolotu nikt nie chce się przyznać. Agencja Mienia Wojskowego, która przejęła na stan dwa ostatnie rządowe Jaki-40, od przejęcia Tupolewa się wymigała. Oficjalnie ze względu na toczące się śledztwo i zabezpieczenie samolotu na potrzeby prokuratury. Nieoficjalnie samolot uchodzi za niesprzedawalny. Zwłaszcza po tak długim okresie nieużywania, kiedy właściwie powinien przejść kolejny remont generalny. Trudno się dziwić, że nikt nie ma ochoty wytłumaczyć opinii publicznej, jak to się stało, że wyremontowany za kilka milionów samolot sprzedawany będzie za ułamek tej kwoty. Ale jeszcze trudniej wytłumaczyć, dlaczego rządzącym potrzeba aż sześć nowych samolotów. ltd., itp., cdn.

JULIUSZ CWIELUCH



©CARSTEN KOALL/REPORTER

Ostatni taki prymas

Ze śmiercią kard. Józefa Glempa kończy się w Polsce epoka prymasów – przywódców narodu.

W Kościele prymas Glemp będzie zapamiętany dobrze. Jako przywódca niebłyszczący charyzmą czy intelektem, ale skutecznie służący interesom Kościoła. Za jego prymasostwa Kościół uzyskał (jeszcze od rządu Mieczysława F. Rakowskiego w PRL) bardzo korzystny status prawny, obowiązujący do dziś, doczekał się ratyfikacji konkordatu z III RP, restytucji majątkowej, wprowadzenia religii do szkół publicznych, państwowego zakazu aborcji. W społeczeństwie ocena będzie zróżnicowana. Sam prymas lubił być uważany za apolitycznego centrystę, syna katolickiego ludu w służbie Kościoła i narodu. Ale miał kłopot z utrzymaniem tego wizerunku, bo chcąc nie chcąc, znalazł się w centrum wydarzeń zmuszających do opowiedzenia się po którejś stronie polskich konfliktów. Za Solidarnością czy za stanem wojennym? Za restytucją praw Kościoła w schyłkowej Polsce Ludowej, ale bez restytucji praw Solidarności? Za demokracją liberalną czy za wartościami chrześcijańskimi w państwie i prawie? Za Unią Europejską czy za katolicką naszą chatą z kraja? Takie dylematy spadały na prymasa Glempa, odkąd w lipcu 1981 r. Jan Paweł II mianował go arcybiskupem metropolią gnieźnieńskim i warszawskim. Tradycyjnie

nominacja ta wiązała się z tytułem prymasa Polski. Jest to wprawdzie tytuł historyczny i honorowy, który nie występuje we współczesnym prawie kościelnym, jednak w Polsce ma on wciąż duże znaczenie prestiżowe i praktyczne. W Kościele na Zachodzie też byli prymasi, ale współcześnie zarzucono tę tytułaturę jako ciut megalomańską. U nas tak się złożyło – z przyczyn formalnych – że do śmierci kard. Glempa mieliśmy w Polsce aż trzech prymasów. Aby jakoś wyróżnić tego z najdłuższym stażem, zaczęto kardynała Glempa tytułować Prymasem Seniosem. Pozostali dwaj to arcybiskupi gnieźnieńscy Henryk Muszyński i Józef Kowalczyk, były wieloletni nuncjusz papieski. Muszyński jest prymasem na emeryturze. W tej chwili prymasem Polski jest abp Józef Kowalczyk.

Prymas Glemp zostanie pochowany w archikatedrze warszawskiej w byłym sarkofagu abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, świętego katolickiego. Ten sarkofag stoi niedaleko od grobowca kard. Augusta Hlonda, prymasa w latach 1926–48. To Hlond wskazał na swego następcę młodego biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego. W Kościele powtarzano, że z kolei Wyszyński miał naznaczyć na prymasa ówczesnego biskupa warmińskiego Józefa Glempa. Sama nominacja nie wystarczyła, potrzebna była jeszcze wstępna zgoda władz PRL na kandydaturę. Prymas Wyszyński znał się z ks. Glempem do

► brze. Glemp, prawnik z wykształcenia, od lat 60. pracował jako jego sekretarz, zdobywając duże doświadczenie przydatne w zarządzaniu Kościołem.

Tak się zdarzyło, że śmierć prymasa Glempa zbiegła się ze 150-leciem powstania styczniowego. Gdy wybuchło w 1863 r., głową Kościoła warszawskiego był właśnie wspomniany Feliński. Nie palił się do rewolucji narodowej, był patriotą typu pozytywistycznego. Jednak ostatecznie upomniał się o niepodległość. Wielu romantycznych patriotów widziało w nim człowieka reżimu, wybrańca margrabiego Wielopolskiego, rządzącego z nadania caratu. Ale za poparcie sprawy powstańczej Feliński został zesłany na 20 lat w głąb Rosji.

W 1981 r., zaledwie pół roku po nominacji prymasowskiej dla Glempa, historia poniekąd się powtórzyła. Gen. Jaruzelski, w oczach przeciwników sojusznik Moskwy, zmiądzzył pokojową rewolucję Solidarności. Prymas Glemp nie był radykałem, nie zachęcał do czynnego oporu. Nie chciał dopuścić do rozlewu krwi. W kraju linia Glempa nie podobała się wielu działaczom opozycji. Oczywiście nie oczekiwali od prymasa, by wezwał naród do kolejnego powstania, tylko by nie stwarzał wrażenia, że jako legitymizuje rozprawę Jaruzelskiego z Solidarnością. Bo tak interpretował politykę Glempa sam generał, a za nim spora część społeczeństwa. Pojawiło się głębokie pęknięcie między przywódcą Kościoła a prosolidarnościową częścią wiernych i niewierzących.

Prymas rozmawiał i z Jaruzelskim, i z Wałęsą, przed i po stanie wojennym. Mówiło się nawet, że ta trójka może stworzyć jakąś radę porozumienia narodowego. Jednak prymas uważał, że w 1981 r. Solidarności nie była gotowa do rządzenia Polską. Mimo to, kiedy najgorsze już się stało, pozwalał organizować pomoc dla internowanych pod parasolem ochronnym Kościoła. Wsparł Okrągły Stół, czyli rozmowy między Solidarnością a PZPR, torujące w efekcie drogę do pełnej niepodległości i przywrócenia demokracji. Pozwolił wysłać na te rozmowy obserwatorów z ramienia Kościoła, co oznaczało, że jest za dialogiem i ugodą. I chwala mu za to.

W ten sposób prymas Glemp zamykał swoje dawniejsze rachunki z Solidarnością. Ostatecznie stanął po jej stronie. Symbolicznie zamknął te rachunki także w Kościele, gdy już w wolnej Polsce publicznie przeproszał za to, że nie uchronił przed śmiercią kapelana robotniczej Solidarności ks. Jerzego Popiełuszki, bestialsko zamordowanego przez agentów SB w 1984 r. W stanie wojennym prymas traktował Popiełuszkę niechętnie, tak jakby był raczej źródłem kłopotów dla Kościoła niż bohaterskim świadkiem wiary. Sprawa Popiełuszki dręczyła sumienie prymasa. Wracał do niej w wywiadach, pod koniec życia wyznał, że w trudnych chwilach prosi ks. Jerzego

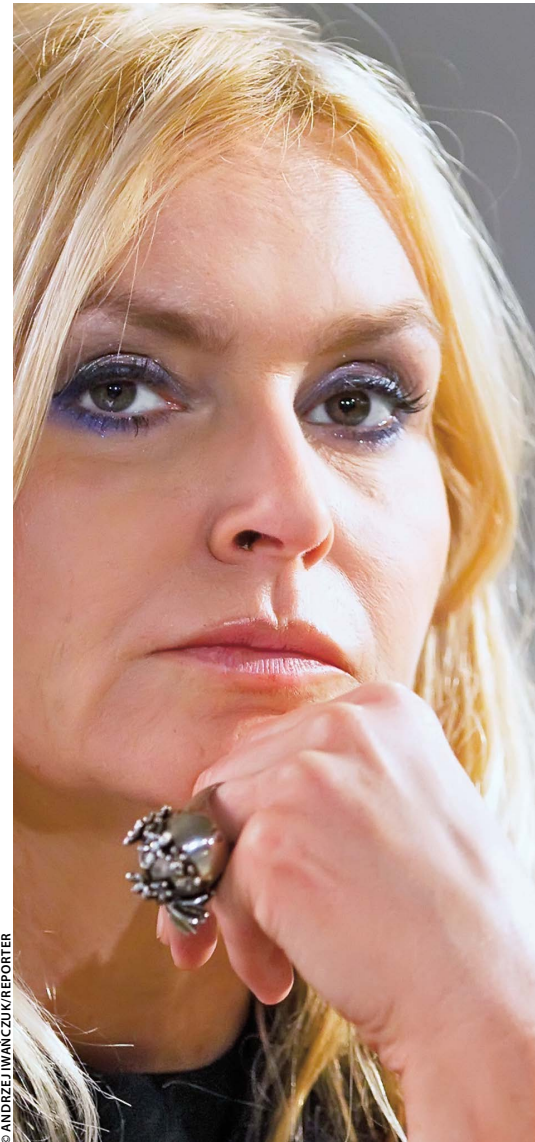
o wstawiennictwo u Boga, podobnie jak prymasa Wyszyńskiego i Jana Pawła II.

Do dziś trudno mieć wątpliwości, że linia prymasa Glempa była generalnie zgodna z linią Jana Pawła II w kwestii polskiej. Obu chodziło o utrwalanie wpływów Kościoła w społeczeństwie, o jego materialną odbudowę po 1989 r., o uczynienie z Kościoła siły moralnej wpływającej na odrodzone państwo polskie. Kiedy kard. Glemp kierował Kościołem w Polsce, papieżem był przez prawie cały czas Karol Wojtyła. Ale prymas nie wykorzystał dostatecznie tego niezwykłego potencjału. Owszem, w ślad za papieżem przekonywał Polaków katolików do Unii Europejskiej, ale na przykład w sprawie stosunków polsko-żydowskich linia prymasa odbiegała od linii papieża. Na przełomie lat 80.–90. nie zajął od razu jasnego stanowiska w sprawie przenosin klasztoru karmelitanek z terenu obozu Auschwitz, o co prosili, ze względów religijnych, Żydzi. Dopiero interwencja Jana Pawła II przecięła ten konflikt. Prymas Glemp nie zaważał się nazwać przedstawicielem „opcji żydowskiej” ks. Stanisława Musiała, zaangażowanego po myśli papieskiej w sprawę karmelitanek. Prymas Glemp, ani nikt z biskupów polskich, nie wziął udziału w uroczystościach w 2001 r. w Jedwabnem ku pamięci Żydów spalonych tam żywcem przez sąsiadów w 1941 r. Biskupi modlili się za ofiary mordu osobno, we własnym gronie. Do Jedwabnego przyjechał natomiast prezydent Kwaśniewski, który w imieniu swoim i tej części narodu, którą wstrząsnęła zbrodnia w Jedwabnem, przeprosił za pogrom dokonany polskimi rękami. Ale Kwaśniewski wywodził się z elity PZPR, a tej prymas, już w wolnej Polsce, nie szczędził ostrych słów. W 1995 r. zasłynął wypowiedzią, że PRL wciąż trwa. Podkreślał, że nie było rozliczenia z PRL i z PZPR. „Widząc wielu ludzi z PZPR w rządzie, parlamencie i na stanowiskach, racjonalne jest pytanie: kto nami rządzi?”. Kard. Glemp przechodził wówczas ze swego ulubionego centrum na prawo, popierał lustrację (kiedy nie dotknęła ona jeszcze ludzi Kościoła) i żałował, że nie odrodziła się partia chadecka; kibicował Akcji Katolickiej.

Mimo tej ewolucji prymas nie był mupartyjniony, tak jak wielu dzisiejszych dostojników kościelnych. O Radiu Maryja potrafił powiedzieć (w rozmowie z Ewą Czaczkowską dla „Rzeczpospolitej” w 2001 r.), że w warstwie religijnej jest poprawne, ale wizja społeczna radia jest oparta na ustawicznej walce z kimś lub czymś, na propagandzie. Tu miał rację, lecz pomylił się w prognozie, że „taki styl, takie emocje, pokrzykiwanie nie może trwać długo”. Okazuje się, że może, że przeżyło prymasa. Śmierć kard. Józefa Glempa zamyka powojenną epokę prymasów w specyficznie polskim znaczeniu: jako przywódców Kościoła postrzeganych także jako przywódcy narodu, odpowiednik dawnych królów.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Prawicowi lustratorzy wyciągają po życiorysy dziadków, teściów,



© ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

”
Monika Olejnik:
Te ataki wynikają z bezradności. Polecam tym ludziom, żeby zarezerwowali sobie jakieś stałe miejsce w IPN, niech tam siedzą i grzebią.

Resortowe dzieci

teczki matek, ojców, stryjów. A jeśli to nie wystarcza, sięgają kuzynów. Ma to uderzyć w genetycznych spadkobierców komunizmu.

MALWINA DZIEDZIC

Rodzinna lustracja ma przekonać, że tak jak można przekazywać dzieciom dobre ideały, czego dowodem bracia Kaczyńscy i ich zmarła własnie matka, tak można dziedzić geny zdrady, braku tożsamości, wykorzystania. „Nie możemy współżyć na naszej ziemi ze zdrajcami, z wieloma pokoleniami zdrajców” – wykladał ostatnio w „Gazecie Polskiej” poeta Jarosław Marek Rymkiewicz. Wspomniał też o „Polakach owładniętych mongolską ideaą” (czyli poddanych bezwolnie caratowi), „wewnętrznych Moskalach” i „obcych smokach”.

„Szykowany jest jednostronny, polityczny atak o charakterze donosu personalnego” – napisała na swoim blogu Janina Jankowska, szanowana na prawicy dziennikarka, co narobiło sporo zamieszania. Chodzi o mającą ukazać się jesienią książkę Doroty Kani i Macieja Marosza pod roboczym tytułem „Resortowe dzieci” (pod redakcją Jerzego Targalskiego, niegdyś zresztą działacza PZPR). Na łamach „Gazety Polskiej Codziennie” Kania dała próbkę tego, czego możemy się spodziewać w ramach udowodniania, „dlaczego salon tak nienawidzi idei IV RP”. Zlustrowała krewnych znanych dziennikarzy – w tym m.in. Moniki Olejnik, Andrzeja Morozowskiego, Justyny Pochanke, Hanny i Tomasza Lisów. I wyszło jej, że w mediach „kluczową rolę odgrywają dzieci funkcjonariuszy służb specjalnych PRL-u i PZPR-owskich bonzów”.

Powrót metody grzebania w rodzinnych życiorysach właśnie teraz można tłumaczyć wzmożeniem medialnym na prawicy, pojawianiem się nowych pism, licytacją, kto gorliwszy w tropieniu ukrytych wrogów. Ponadto nieprzypadkowo rodzinna lustracja dotyczy przede wszystkim ludzi tzw. mainstreamowych mediów. Bo właśnie w mediach i o media toczy się dzisiaj zastępcza wojna polityczna. I jest ona jeszcze bardziej zażarta niż konflikt pomiędzy głównymi partiami.

Doczekaliśmy się więc czegoś, co można określić mianem lustracji drugiego stopnia. Ta stara powoli traci na znaczeniu, bo wysokie stanowiska w polityce, biznesie i mediach obejmują coraz młodsze osoby. A jeśli jeszcze na kogoś znajdują się w IPN papiery, to są to ludzie mniej znani, z terenu, a więc niezaspokajający politycznej potrzeby walki z celebryckimi elitami. Ta lustracja bis,

sięgająca rodzin i przodków, jest atrakcyjnym politycznie instrumentem, bo atakowanemu bardzo trudno się przed nią bronić. Stara lustracja miała jeszcze od biedy jakieś ustawowe procedury, zasady, sądowe rozstrzygnięcia. Lustracja bis jest puszczona na żywioł. Właściwie każda reakcja tych, którym przegląda się rodziny, jest zła: tłumaczenie i wyjaśnianie oznacza wciągnięcie w grę, stawianie się przed trybunałem lustratorów, a o to im chodzi. Odcięcie się od „niesłusznych klasowo i rasowo” przodków przypomina zaś znane z czasów komunizmu składanie samokrytyki, ma coś z obrzydliwej historii Pawki Morozowa. Pozostaje milczenie, ale i ono może być zrozumiane jako „przyznanie się do win”, bo jeśli nie prostujesz, to znaczy, że uznałeś „haniebną wymowę faktów”.

Na czym polega nowa lustracja, mogliśmy się przekonać na przykładzie sędziego Igora Tulei. Cezary Gmyz pytał, czy pochodzący z „tzw. rodziny resortowej” sędzia może zachowywać bezstronność. Sam fakt, że „syn resortowy” pełni w III RP funkcję publiczną, jest dowodem na ciągłość PRL, brak patriotyzmu, obniżone standardy moralne, niechęć wobec rozliczenia przeszłości.

Klucz do zrozumienia lustracji rodzin można znaleźć u prof. Andrzeja Zybertowicza, socjologa uważanego za twórcę i głównego teoretyka pisowskiej idei Układu. Już w 2011 r. wykladał na łamach „Gazety Polskiej”: „nie jest bez znaczenia, jaka część (...) obecnych elit wywierających wpływ na bieg spraw polskich wyrastała w domach, gdzie wpajano lojalność wobec rewolucyjnej, autorytarnej ideologii internacjonalistycznej. A jaka część w domach, w których pielęgnowano polską tradycję narodową i etos inteligenckiej służby publicznej. W jakich formowano postawy wyższościowe, lewackie postawy lekceważenia wobec motłochu, ciemnogrodu (dziś: moheru), a w jakich rodzinach postawy współczucia i wsparcia słabszych”. W podobnym tonie napisał ostatnio Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny „GP”, którego obruszyły krytyczne uwagi Janiny Jankowskiej („celebrytki w przebraniu dziennikarza”) pod adresem jego podwładnych. Podkreśla, że poznanie powiązań rodzin osób publicznych ze światem polityki, służb i biznesu jest szczególnie istotne, ►

Kuba Wojewódzki:

Brakuje nam w rodzinnym albumie zdjęć tatusia na koniu, w mundurze czerwonooarmisty. Oni na bank je znajdują.





© MARCIN LOBACZEWSKI/REPORTER

Justyna Pochanke:

Oni tylko na to czekają, żeby wdawać się z nimi w dyskusję, odpowiadać na ich zarzuty, które składają.

► bo te „w prosty sposób przenoszą się na kariery dzieci”.

Zasadniczym celem jest przekonanie opinii publicznej, że nie można zrozumieć rzeczywistości bez odwołania się do powiązań rodzinnych i towarzyskich. Dlatego trzeba wykazać „biologiczne” powiązanie z dawnym reżimem, PZPR, służbami, co ma dowodzić, że zachowana jest „genetyczna” ciągłość między PRL a III RP. Bo „choćby nikogo nie można winić za jego rodziców – wspaniałomyślnie przyznaje Zybertowicz – to obywatela powinni mieć orientację, czy rządzą nami takie elity, które czują się ze swoim krajem i jego tradycją związane”.

Genetyczny patriotyzm

Absurdalne, wydawałoby się, przekonanie o istnieniu czegoś, co Marek Suski (PiS) już w 2006 r. nazwał „genetycznym patriotyzmem”, jest teraz utrwalane. „Trudno oczekiwać, żeby dziecko komunisty walczące całe życie z Kościołem nagle potępiło obrażanie uczuć religijnych. Trudno zakładać, że potomek kanalii zachowa się jak przyzwoity człowiek, że ktoś, kogo ojciec zwalczał patriotów, nagle odda im hołd” – pisze w „Gazecie Warszawskiej” Aldona Zaorska.

Kilka lat wcześniej związany ze środowiskiem Radia Maryja i słynący z antysemitycznych poglądów Jerzy Robert Nowak opublikował „Czerwone dynastie”. W książce opisywał przeszłość m.in. rodzin Adama Michnika, Konstantego Geberta, Włodzimierza Cimoszewicza, Marka Borowskiego, Roberta Kwiatkowskiego. „Znać rodowody – przekonywał Nowak – to wiele zrozumieć. Na przykład zrozumieć lewicową tendencyjność Moniki Olejnik, córki pułkownika MSW, czy uprzedzenia do Kościoła katolickiego ze strony wychowanego w ateistycznym środowisku Jerzego Owsiaka, syna wysoko postawionego partyjnego milicjanta. (...) Pragnę pokazać (...), w jak wielkim stopniu mamy dziedziczenie »pseudoelit«. (...) I pokazać, jak ci dziedzicze władzy ukształtowali »próżniaczą klasę polityczną«, opartą na ograniczonym tylko do nich, do ich układów systemie awansów i karier”.

– Oni tylko na to czekają, żeby wdawać się z nimi w dyskusję, odpowiadać na ich zarzuty, bo to uświęca te litery, które składają. Nie! – mówi Justyna Pochanke z TVN, której historia rodzinna ma się pojawić w książce Kani i Marosza. – Mam fantastyczną robotę, patrzę codziennie rano w lustro, gdy się oglądam wokół, widzę moją mamę, która jest fantastyczną osobą, krystalicznie uczciwą, bo takie osoby też pracowały w FOZZ i nie siedziały na ławie oskarżonych [Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, państwowa firma, w której w końcu lat 80. miało dojść do defraudacji – red.]. Prezenterka zastanawia się, czy lustratorzy dogrzebali się do informacji, że jej mama studiowała

na prawie w jednej grupie z braćmi Kaczyńskimi. – *Moja mama jest wyborcą PiS. Konserwą. Na samochodzie ma naklejkę: „Polska jest najważniejsza”, z kampanii prezydenckiej Jarosława Kaczyńskiego. Pękliby ze śmiechu, gdyby się dowiedzieli. A może wiedzą, tylko nie pasuje to do przyjętej tezy?*

Monika Olejnik z kolei uważa, że atakowanie rodziców jest wyrazem dziennikarskiej bezsilności. – *To, co mam, zawdzięczam sobie samej, bo całe życie ciężko pracowałam, i pomimo różnych publikacji, które będą się ukazywały, będę kochała mojego ojca. Te ataki wynikają z bezradności. Polecam tym ludziom, żeby zarezerwowali sobie jakieś stałe miejsce w IPN, niech tam siedzą i grzebią. Mnie to kompletnie nie interesuje. Naprawdę nie mam zamiaru się tłumaczyć.*

To, że osoby zaliczane do tej tzw. elity III RP ciężką pracą zdobyły swoją zawodową pozycję, zdaniem lustratorów, w ogóle nie wchodzi w rachubę. Pobrzmiewa tu – charakterystyczne dla PiS – poczucie krzywdy: że oto nam się nie udało, ale nie dlatego, że wina jest gdzieś w nas, a właśnie w tych, którym się powiodło, bo sukces dostali w spadku. „Żadna z osób do tych środowisk nie trafiła przypadkiem, dzięki szczęściu albo talentowi” – konstatuje Zaorska i wymienia „czerwonych wychowanków”, „potomków czołowych komuchów”: Kubę Wojewódzkiego, Michała Figurskiego, Bartosza Węglarczyka, Agnieszkę Holland, Jerzego Owsiaka, Grzegorza Miecugowa, Magdę Gessler, Magdalenę Środę...

Prawicowa publiczność wyraźnie chce tę sieć powiązań znać. Jak pokazują wyniki sondy przeprowadzonej ostatnio na portalu wPolityce.pl, zdecydowanie przeważa opinia, że „media powinny zajmować się przeszłością rodziców osób publicznych”, bo „to prawie zawsze ważna i cenna informacja, kto był kim i co robił”.

W komentarzach na prawicowych portalach nie brakuje wątków antysemitycznych, tak charakterystycznych dla grzebaniny w życiorysach. Ten wątek pojawił się w wolnej Polsce już na początku lat 90., kiedy w prezydenckiej kampanii wyborczej Lech Wałęsa posługiwał się aluzyjnymi sformułowaniami, wzywał konkurentów politycznych do ujawnienia swojego pochodzenia etnicznego i podkreślał, że „Wałęsa ma polską krew i ma na to dokumenty”. Rymkiewicz twierdził swego czasu, że redaktorzy „GW” są „duchowymi spadkobiercami KPP” i wychowano ich tak, że „muszą żyć w nienawiści do polskiego krzyża”.

A teraz Dorota Kania pyta retorycznie, czy „wyjątkowa niechęć do IV RP i polityków PiS-u”, która cechuje Andrzeja Morozowskiego, „wynika z jego wychowania i tradycji rodzinnych”? Streszcza życiorys ojca dziennikarza TVN24, skupiając się na żydowskim (zresztą błędnie podanym) nazwisku, działalności w młodzieżówce KPP i pracy w MBP i MSW.